

Zmysł sieci

Wiele wynalazków zapoczątkowano lub popularyzowano w literaturze. To opowiadanko jest wypowiedzią pewnego miłośnika innowacji i pisania. Trafi do jego nowej książki o Internecie?

Promień lasera wycelowany w moje oczy trawił je nieodwracalnie, niszcząc mój wzrok, a ja usiłowałem odwrócić się w inną stronę, ale bezskutecznie. Wreszcie wyrwałem się i moje ciało potoczyło się po zboczu. I wtedy... obudziłem się.

Słońce wschodziło właśnie nad naszą zatoczką otoczoną z obydwu stron szpalerem drzew. Akurat dzisiaj był taki dzień, że promienie trafiały wprost w moją twarz. Spojrzałem w bok. Moja żona jeszcze spała. Jej słońce dosięgnie dopiero za chwilę.

- Ciekawe, co to będzie?

Tymczasem wymknąłem się do łazienki. Gdy kończyłem już poranną toaletę, usłyszałem dźwięki aerobiku.

- Aha, nie będę miał widowiska.

Wszedłem do pokoju i całując ją, zapytałem:

- Może masz ochotę na poranną kąpiel?

- A wiesz, że nawet, ale...

Pobiegliśmy na wyścigi do zatoki, po drodze pozbywając się odzieży. Kompletnie nadzy wskoczyliśmy do wody i zaczęliśmy ochlapywać się nawzajem. Potem skoczyliśmy w kierunku morza i popłynęliśmy, aż zatoka z obydwu stron rozwarła się i wypłynęliśmy na otwarte morze. I wtedy krzyknąłem:

- Rewanż! Kto pierwszy na brzegu, ubierze się i będzie z powrotem w domu.

Znowu wygrała ona. Była zgrabniejsza, zwinniejsza i bardziej ode mnie kochała sport.

Śniadanie jak zwykle na tarasie i jak zwykle nasze dzieci z trudem zwlokły się z łóżek. Ale cóż się dziwić, skoro syn do północy dawał wirtualny koncert dla MTV, a córka grała międzykontynentalny mecz Quidicha w swojej uprząży do virtual-reality.

Dzieci usiłowały przedłużyć śniadanie, ale czujnie wypędziliśmy je, zanim nasz stojący zegar w salonie wybił ósmą rano. Jeszcze sprawdziliśmy na komórkach, że rzeczywiście punktualnie zalogowały się w swoich szkołach i mogliśmy, zostawiając cały ten poranny bałagan robotom do sprzątnięcia, udać się każdy do swojej pracowni. Wielkie słowo pracownia oznaczało po prostu małe pomieszczenia bez okien, ale z klimatyzacją, które posiadały specjalne legowisko do logowania się w serwisie wirtualnej pracy.

Ja pracuję dla niewielkiej, ale prężnej firmy oferującej wysokiej klasy oprogramowanie wirtualnej szkoły. Naszymi klientami są głównie ekskluzywne szkoły prywatne z całego świata. Nasz nauczyciel może w tej samej chwili pracować z grupą do 50 uczniów, którzy są lepiej kontrolowani i inspirowani do pracy niż połowa tej liczby uczniów w tradycyjnych klasach.

Zajmuję się równie tradycyjnym programowaniem, jak pierwsi informatycy sprzed 100 lat, a nawet, uważana za pierwszą programistkę, lady Ada Loveland sprzed 200 lat. Tyle że mój dziadek w połowie lat 70. swoje programy zostawiał na kartach perforowanych i odbierał po tygodniu, podczas gdy już mój ojciec mógł obserwować efekty działania swoich programów w ciągu paru sekund. Ale obydwaj nie mieli tak wyrafinowanych środowisk, które pozwalają np. programować wirtualne obiekty, by trójwymiarowym wyglądem, ruchem, zapachem, smakiem oraz dotykiem nie odróżniały się od rzeczywistych. Człowiek zanurzony w wirtualnej rzeczywistości Internetu często myli się, myśląc, że wszystkiego doświadcza naprawdę. Dlatego konieczne są automaty wybudzające z wirtualnych przeżyć i sztaby psychologów i psychiatrów czuwające nad stanem psychiki społeczeństwa.

Skończył się czas mojej pracy, w której zajmowałem się głównie „dzienniczkami ucznia”, tj. oprogramowaniem pozwalającym odnotowywać postępy i postęпки uczniów, tak by mogli je również odczytywać rodzice, a uczniowie nie byli im w stanie tego utrudnić ani zmienić swoich wyników. Wyszedłem do salonu i, popijając drinka, wpatrywałem się w otwarte morze, gdzie nagle ujrzałem... samotny biały żagiel.

Już z daleka zorientowałem się, że jest to obca łódź, nie z naszej wyspy. I na dodatek wkraczała na nasz prywatny teren, za który płacimy tę straszliwą dzierżawę, że trudno z pensją nastarczyć, a on śmie się nam tu wdzierać. Mój dziadek w tym momencie wziąłby pewnie strzelbę albo chociaż pistolet, a ja mam do dyspozycji tylko komórkę, by wezwać policję. Chociaż jestem wdzięczny pokoleniu ojca, że doprowadziło do powszechnej demilitaryzacji, pozostawiając broń jedynie w rękach wyspecjalizowanych służb chroniących mienie i zdrowie obywateli, to jednak... w takim momencie chciałbym mieć coś pod ręką.

Gdy jacht dobijał do lądu, już czekał na niego miejscowy szeryf, nawet nie musiałem go wzywać. Cała wyspa jest pod baczna opieką. Widać było, jak szeryf z przybyłym na jachcie mężczyzną głośno gestykują, jakby coś sobie tłumacząc. W końcu obydwaj udali się w moim kierunku.

- Ten jegomość twierdzi, że jest pańskim znajomym i przybył tu na pana zaproszenie.

- Ależ nic podobnego, nie znam tego pana – zachnąłem się gwałtownie.
- Jak to nie znasz? Przecież jestem vamen, a ty gront, zapraszasz mnie już od miesiąca! – odezwał się wreszcie tamten z irytacją.
Zdębiałem!
- To jak będzie? Zna pan tego pana i zapraszał go? Czy mam wlepić mandat? – zniecierpliwiał się szeryf.
- Ależ, ależ... – nie mogłem zebrać myśli – to gigantyczne nieporozumienie. My się znamy wirtualnie z netu i ja cały czas myślałem o tego rodzaju spotkaniu.
- Przepraszam! To trochę moja wina, bo nie uznaję spotkań w necie i zawsze dążę do bezpośrednich wizyt. Najlepiej z zaskoczenia. To może jednak przepraszę i odpłynę – nieznajomy znajomek zaczął się wycofywać.
- Ależ nie! Proszę zostań, przecież jesteś naszym gościem. Gość w dom, Bóg w dom! – wreszcie się jakoś pozbierałem.
- Dziękujemy, szeryfie. Proszę wybaczyć naszemu gościowi – zwróciłem się do miejscowej władzy.
- W porządku. Trochę to nawet zabawne – roześmiał się szeryf, oddalając się.
- To ja może przedstawię swoją rodzinę – zaproponował już całkiem rezolutnie gość, oddalając się do łodzi. Spojrzeliśmy na siebie z żoną z nieukrywanym zdumieniem. Z czymś takim jeszcze się nie zetknęliśmy. To się nam po prostu nie mieściło w głowie. Facet, którego co prawda dość długo już znałem z netu, zjawia się nieproszony w realu i do tego z całą rodziną. A przecież od lat tyle jest ostrzeżeń, by uważać z przenoszeniem znajomości z netu do realu. To już stało się tabu wpajane dzieciom od najmłodszych lat. Zwłaszcza dzieciom i młodzieży narażonej na pedofilię i bandytyzm.
Kiedy jednak odwróciliśmy się z powrotem w kierunku łodzi, przeżyliśmy kolejny szok. Właśnie wypelzało z niej kolejne, piąte już dziecko. W zdumieniu doliczyliśmy się w końcu siedmiorga dzieci w wieku od jakichś pięciu do około piętnastu lat.
Ale to nie był koniec. Po chwili ze zdumieniem rozpoznaliśmy, że dwoje dorosłych to dwaj mężczyźni. Niby takie sytuacje spotyka się dzisiaj często, ale nie na naszej wyspie i wśród naszych znajomych. No i do tego tyle dzieci! Z rezygnacją czekaliśmy na dalszy rozwój tej katastrofy.

Impreza była rozkręcona na całego.

W niebo strzelały race i sztuczne ognie, rozbryzgując się na wszystkie strony z ogromnym hukiem, czym wzniewały jeszcze głośniejsze piski udawanego przerażenia wśród tańczącej wokół ogniska dzieciarni. Nagle z oddali rozległo się narastające basowe buczenie gigantycznych silników. Po chwili zza horyzontu majestatycznie wypłynęły czterosilnikowe maszyny w szyku bojowym. Obok nich pojawiły się pierwsze błyski pocisków obrony przeciwlotniczej. To mały Anakin usiłował swoim dżojstikiem odsunąć niebezpieczeństwo, ale było już za późno, bombowce otworzyły luki z ładunkami, które zaczęły opuszczać maszyny długim sznurem. Po chwili rozpoczęły się gigantyczne wybuchy. Najpierw w odległości kilku kilometrów, a potem coraz bliżej i bliżej...

- A teraz zapraszamy na małą przekąskę – żona zdobyła się na odwagę i z pomocą instalacji nagłaśniającej przewyciężyła gigantyczny harmider.
Na te słowa cała ściana naszego domu rozwarła się i z wnętrza wynurzył się długi pochód kolorowo ubranych błaznów, kuchcików, dworzan i innej służby. Weszli w środek naszego kręgu wokół ogniska i rozstawili wokół niego jedzenie na przyniesionych stołach, stawiając ruszt z obracającą się na nim ogromną dziczyzną, po czym stanęli za naszymi plecami, przygrywając renesansowymi dźwiękami. Kiedy dzieci odzyskały animusz po tym spektaklu i zobaczyły jedzenie, znowu zaczęły się piski i wesołe krzyki.
- No, gratuluję wspaniałej oprawy – zbliżył się do mnie jeden z tych dwóch dorosłych gości.
- To dosyć oklepany 3Dklip – machnąłem ręką z lekceważeniem.
- Ale technologię wizji 3D macie wręcz idealną. Widziałeś, jak nasze dzieciaki przestraszyły się tych bombowców?
- To tylko kwestia inwestycji. Akurat dwa miesiące temu wysiadł nam stary system, więc wymieniliśmy wszystkie wzbudzacze cząstek powietrza i uzupełniliśmy tak, że objęły całą naszą działkę i to na przestrzeni 30 metrów w górę, ale przez odkształcenia optyczne pozwalające na efekty do kilometra wwyż.
- My też mamy kilka klipów do naszego mikrosystemiku na łajbie.
- To może je zaprezentujesz po kolacji?
- Jest taki jeden, oryginalny i baaardzo nam bliski...
- To proszę, tu jest sterownik – podałem mu plastikowego pilota. – Poradzisz sobie?
- No pewnie! Zaraz to ze spokojem zestroję – powiedział, oddalając się w spokojniejsze miejsce.
- Co on od ciebie chciał? – zapytała podejrzliwie żona.

- Chce nam pokazać jakiś swój 3Dklip.
- Coś ty, zwariowałeś! - wykrzyknęła gwałtownie. - A jak on nam tu pokaże jakąś orgię albo zakamuflowany homoseksualizm?
- Nie panikuj. Przecież to spoko ludzie. Nie zauważyłem nic podejrzanego - starałem się ją uspokoić.
- Przecież my mamy dojrzewające dzieci, a ty masz taki zwis na wszystko.
Zamilkłem z bezradności. Swoją drogą rzeczywiście zagadkowe towarzystwo. Minęło parę godzin od ich przybycia i mamy za sobą kilka rozmów, a nadal nic o nich nie wiemy.
Z zadumy wyrwał mnie błysk szybko powiększającej się gwiazdy na wschodzie. Lśniła czerwonym blaskiem.
- Ależ to przecież Mars! - okrzyk żony uświadomił mi moją ignorancję.
Nagle kilka metrów nad nami zaczęła przesuwać się postać w lśniącym skafandrze.
- Patrzcie, kosmonauta! - wrzasnęło jedno z dzieci.
- Po chwili pojawił się też olbrzymi statek kosmiczny, wokół którego przesuwał się kosmonauta, dokonując inspekcji czy też odbywając zwykły spacer.
I nagle wszyscy znaleźliśmy się w maleńkiej kabinie statku.
- Mamusiu! - jedno z najmłodszych dzieci rzuciło się w kierunku obrazu śmiejącej się radośnie kobiety i kiedy przecięło ten obraz, zamiast się zatrzymać, pobiegło dalej z głośnym płaczem.

Siedzieliśmy na samym dnie zatoki. Otoczeni lasem wodorostów. Nad nami widać było dno łodzi przybyszów, które błyszcząco teraz potężnymi reflektorami rozświetlającymi wodę. Wydawało się, że to słońce zeszło pod powierzchnię wody i rozświetliło tę zawsze mroczną krainę.
Po incydencie na plaży i długotrwałych poszukiwaniach dziecka, kiedy nasi goście wreszcie położyli dzieci spać, poprosili nas o rewizytę.
Nie mogliśmy im odmówić, widząc, jak ich to zdarzenie przygnębiło. Kiedy wsiedliśmy do ich łodzi, wypłynęli na środek naszej zatoczki i zaprosili do swego przezroczystego batyskafu chowającego się w czasie podróży pomiędzy kadłubami katamaranu. Batyskaf opuścił się na samo dno.
I siedzieliśmy teraz prawie w milczeniu, ograniczając się do wyrazów zachwytu nad otaczającym nas pięknem.
- Nie wiedzieliśmy, jak pięknej okolicy jesteśmy posiadaczami. Prawdziwi z was odkrywcy - odezwała się moja żona.
- To tylko technika. Pracowaliśmy razem nad niejednym podwodnym filmem, więc wiemy, jak zaangażować technikę, by było pięknie.
- To jesteście razem ze względu na wspólną pracę? - żona zaczynała być chyba zbyt ciekawska.
Roześmieli się serdecznie.
- Napijecie się tego rumu? - zapytał, a właściwie stwierdził, nalewając nam trunku do małych kieliszków ten, który pojawił się pierwszy na wyspie.
- A więc zdrowie naszych wyrozumiałych gospodarzy i ich fantastycznej wyspy! - rzucił toast ten drugi.
- Pewnie wypadałoby wam coś wyjaśnić - rzucił ostrożnie po chwili.
- Ależ nie chcemy wchodzić z buciurami w wasze życie - zastrzegłem się.
- Wcale nie. Nie chcieliśmy o tym mówić przy dzieciach, ale teraz chętnie.
- Tym bardziej że już pewnie patrzycie na nas jak na jakieś dziwadła - dwóch samotnych mężczyzn z kupą dzieciaków na głowie.
- Ależ skąd - nieszczerze zaperzyła się żona.
- Wszystkiemu winna jest odwieczna żądza poznania.
- Chyba nic złego w tym, że wędrujecie sobie po wyspach i je poznajecie? - spytała żona.
- Tu nie o nas mowa, lecz naszych żonach.
- To wy macie żony?
Cały batyskaf huknął śmiechem na to wyjątkowo głupie i niezręczne pytanie mojej wszystkowiedzącej połowicy.
- Jesteśmy braćmi, a nasze żony pewnego dnia zapisały się na kurs kosmonautek. Przekonały nas, mówiąc, że na pewno obydwie nie polecą razem, a jak jedna poleci, to ta, która zostanie, zajmie się wszystkimi dziećmi.
Zapadło milczenie.
- I poleciały obydwie... - domyśliłem się wreszcie.
- Właśnie! Żadna nie chciała ustąpić. Nie dały się namówić nawet na losowanie. Zostawiły nas kompletnie na łodzi. I sami widzicie, co się teraz dzieje z tymi dziećmi.
- Jak odlatywały, to jeszcze mieliśmy nadzieję na szybki program stypendium emigracyjnego, które pozwoliłoby pokryć gigantyczne koszty naszego przelotu i budowy siedziby na Marsie.

Jeden z punkcików na ekranie przestał podążać za wcześniejszymi i coraz szybciej oddalał się w kierunku zachodniego wybrzeża wyspy. Przyspieszyłem kroku, bo to był mój rejon, i zobaczyłem, jak dziesięćolatek rozpaczliwie przedziera się przez gąszcz, powodując wiele hałasu. W pewnym momencie hałas ucichł. Chłopak siedział na pieńku z pochyloną głową. Wyszedłem z ukrycia, specjalnie powodując dużo hałasu. Nie zareagował.

- Zgubiłem drogę do strumienia. Nie widziałeś go może?

- Minąłem go kilka minut temu. Idę z tamtego kierunku.

Chłopak połknął przynętę.

- A dokąd zmierzasz?

- Na wzgórze Fryderyka - powiedział z wahaniem.

- Ja też, ale to musiałbyś iść bardziej w prawo niż dotychczas.

- To mogę iść z panem?

- To chodźmy.

Szliśmy w milczeniu dobrych kilkanaście minut, gdy nagle chłopak rzucił się na trawę. Zaczął drżeć w silnych konwulsjach i rzucał się raz twarzą do ziemi, a innym razem w górę. Trochę dziwny był tylko w tej sytuacji ten błogi uśmiech na jego twarzy.

- Ani chybi atak epilepsji - pomyślałem i zacząłem szykować skobel, by zapobiec pogryzieniu języka.

Tymczasem jednak dzieciak uspokoił się, leżąc na wznak, chwilami śmiał się do rozpuku. Po chwili spojrzał na mnie przytomniejszym wzrokiem i widząc moje przerażenie, zaczął szybko wyjaśniać:

- To była mama. Złapała okazję na kontakt przez łącze kwantowe i trochę się ze mną popieściła - zawstydził się.

- To ty masz...

- Tak, cała nasza dzieciarnia ma szósty zmysł.

Szósty zmysł to popularna nazwa na specjalne implanty i modyfikacje genowe, które powodują, że można korzystać z Internetu w niebywale naturalny sposób, łącząc to z przeżyciami w świecie rzeczywistym. Wiąże się z tym duże nadzieje, ale jak dotąd więcej jest rozczarowań. Ten bardzo kosztowny zabieg jest zarazem trochę niebezpieczny. Już wiele osób trafiło z poważnymi zaburzeniami do szpitali psychiatrycznych.

- Dobrze się czujesz? Nic ci nie jest? - zapytałem z troską.

- Nic. Wszystko OK. Naprawdę. To tylko ta mama, której nie ma, tak na mnie działa, gdy mogę ją poczuć - zasmucił się.

- Dobra. To idziemy - zakomenderowałem.

- Ale nie powie pan nikomu?

- O czym?

- Że mamy szósty zmysł - powiedział, uważnie na mnie patrząc.

- A czemu się tego tak boisz?

- Rodzice zabronili nam mówić.

Rzeczywiście posądzenie o możliwość wystąpienia choroby psychicznej to nawet w naszych czasach śmierć w życiu towarzyskim.

- Nic się nie bój. Ale dobrze, że mi powiedziałeś. To się nam może przydać... - nagle nasunęła mi się pewna myśl, której oczywiście wolałem nie kończyć. Zwłaszcza przy dziecku.

Wieczorem przy ognisku usiadłem obok ojca dzieciaka - Roberta i opowiedziałem mu o przygodzie. Ten tylko się uśmiechnął:

- Nic mu nie jest. To normalne przy tej dawce emocji.

- A z innymi nie ma kłopotu?

- Wszystko jest w najlepszym porządku. Mieliliśmy szczęście do znakomitych specjalistów. To był ich dziadek - powiedział z nutką smutku.

- To musi być bardzo znany, jak zna się na tych sprawach.

- Zginął dwa lata temu. Zabili go przeciwnicy „wynaturzeń”.

- Przepraszam - zrobiło mi się strasznie smutno.

Tego dnia drugie śniadanie zjadłem szybciej niż zazwyczaj.

- Nie ma co się opychać przed imprezą - wytłumaczyłem się żonie z pozostawionych resztek.

- Tylko żebyś nie zaszalał i znowu się nie pochorował - śmiała się.

- No to już lecę - powiedziałem, całując ją na pożegnanie.

Do stacji miałem tak blisko, że z przyjemnością się przespacerowałem. Zjechałem pod ziemię, gdzie w sporej jak na naszą wyspę hali było kilkoro drzwi. Podszedłem do najbliższych, wsunąłem swoją kartę identyfikacyjną. Na ekraniku pojawiły się szczegóły mojej podróży. Potwierdziłem. Drzwi się rozsunęły i ukazał się fotel. Walizeczkę

umieściłem pod siedzeniem, a sam rozsiadłem się na nim. Drzwi zamknęły się bezgłośnie i fotel ruszył w dół, a potem do przodu, aż znalazłem się we właściwym pojeździe. Na ekraniku przede mną znowu zaczęły się pojawiać szczegóły podróży i zaproszenie do korzystania z Internetu i kanałów telewizyjnych i filmowych. Zatopiłem się w studiowaniu aktualnych wydarzeń w Nowym Jorku – celu mej podróży i nawet nie zauważyłem, kiedy pociąg ruszył.

Nielatwo było spostrzec, że jedziemy, bo unoszony na poduszce magnetycznej pojazd w podziemnym tunelu próżniowym nie wydawał żadnego odgłosu. Dało się jedynie odczuwać łagodne przyspieszenie. A było co przyspieszać, bowiem w kulminacyjnym momencie pojazd osiągał 7 tys. km na godz. i tylko dzięki tej prędkości odległość ponad 10 tys. km ze środka Pacyfiku przebyliśmy w niecałe dwie godziny.

Ale w Nowym Jorku już zapadał zmierzch. Nic dziwnego: do dwóch godzin podróży trzeba było doliczyć sześć godzin różnicy w strefach czasowych. Na szczęście cel podróży był blisko. Na szczyt wieżowca wjechałem windą pospieszną. W holu zostawiłem wierzchnie odzienie i neseser w zautomatyzowanej szatni, a przed wejściem na salę wsunąłem do czytnika kupon zaproszenia. W środku już kipiało życie towarzyskie. Ukłoniłem się kilku znajomym oraz skorzystałem z wszechobecnych drinków. Jedzenia na razie nie było, ale czekaliśmy na przemówienie prezesa firmy. Firma jak na obecne warunki nie była mała, głównie przez konieczność dostosowywania się do wymagań regionalnych. Co prawda w dziedzinie edukacji poczyniono już bardzo wiele, by ustanowić standardy kształcenia na poziomie światowym. To było znakomite antidotum na zmorę XX wieku, jaką było bezrobocie z jednej strony oraz brak pracowników z drugiej.

- Nasza firma w ciągu dziesięciu lat z małej „garażowej” działalności takich pionierów informatyki, jak słynne Apple przekształciła się w potęgę światową, obejmującą ponad 30 procent rynku. Żadna inna firma nie ma tyle! – zakończył z emfazą wstęp do swego wystąpienia prezes.

Sala huczała od oklasków.

- Teraz jednak stoimy przed dwoma poważnymi wyzwaniem. Pierwsze z nich to „szósty zmysł”, który po początkowych niepowodzeniach i niedowierzaniu zdaje się wkraczać w fazę ekspansji. Musimy dostosować nasze metody edukacyjne i oprogramowanie do tych nowych wyzwań, ale i nowych możliwości. Jeszcze żadna firma na świecie nie ma poważnych doświadczeń w tej dziedzinie. My musimy być pierwsi!

Oklaski.

- Na dziś najpoważniejszym problemem w tej dziedzinie – kontynuował prezes – jest pozyskanie dzieci i młodzieży, mających te nowe możliwości. Nasze wyspecjalizowane służby już od pewnego czasu dwoją się i troją, by werbować tę nową część społeczeństwa, aby wzięła udział w naszych alfa testach oprogramowania, a przede wszystkim pomogła nam zrozumieć, jak skutecznie kształcić z tymi nowymi możliwościami, ale i nowym bagażem. Dlatego proszę, a nawet zaklinam każdego was, byście czynnie włączyli się w rekrutację, korzystając z rozmaitych nieformalnych kanałów. To nie jest łatwe, bowiem dotyczy zazwyczaj ludzi niezwykle majątnych, o wysokiej pozycji społecznej, często od pokoleń pielęgnujących lokalne szkolnictwo. To naprawdę nie będzie dla was łatwe zadanie, ale przecież nie takim wyzwaniem już sprostała nasza firma. Wierzę, że temu też podołacie i zwyciężymy również w tym wyścigu – znowu rozległa się burza oklasków, a ja zacząłem się zastanawiać, czy podporządkować się wymaganiom firmy, czy raczej zasadom *savoir-vivre*’u w życiu towarzyskim. Od dzieciństwa rodzice wpajali nam przecież, że, wbrew zwyczajom końca XX wieku, nie wypada „wkręcać” znajomych i krewnych w tryby własnej firmy w jakimkolwiek charakterze.

Ale szef nie dał mi się długo zastanawiać:

- Kolejnym wyzwaniem dla jest Mars – sala przyjęła to oświadczenie szmerem niedowierzania.

- Tak, proszę państwa – kontynuował szef bez cienia konsternacji. – Musimy przyłączyć się do tego największego wyzwania, jakie ludzkość postawiła przed sobą na okres kilku wieków. Musimy wziąć udział w rozwoju kolonii na Marsie, dostarczając tam nasze oprogramowanie. To jest nasza przyszłość. Tylko w ten sposób możemy zapewnić rozwój firmy w dalekiej perspektywie.

Ta część przemówienia prezesa firmy miała wyraźnie mniejszy aplauz. Ja jednak chciałem prawie go ucałować. Przecież to by mogło być rozwiązanie dla naszych przyjaciół. Może udałoby się namówić moją firmę na sfinansowanie wyprawy na Marsa całej ich rodziny. Zbliżyłem się do prezesa i udało nam się wymienić ukłony, ale po pierwsze był zajęty, a po drugie nie chciałem rozpoczynać negocjacji bez wyraźnej zachęty przyjaciół. Muszę się z nimi jak najszybciej porozumieć, najlepiej osobiście. Wyjąłem komunikator i wszedłem na ich bloga. Czerwona kreska na oceanie pokazywała trasę podróży. Widać było, że zbliżają się do Wyspy Wielkanocnej. Tam byłoby wygodnie nam się spotkać. Wysłałem do nich wiadomość, a sam zrezygnowałem z noclegu i wróciłem nocnym pociągiem na wyspę. Zmęczony ledwie dowlokłem się do domku. Akurat była pora na nocleg, więc już z nikim nie rozmawiałem, tylko położyłem się spać.

Minęło parę dni, niezbędnych do tego, aby łódź przyjaciół na dobiła do Wyspy Wielkanocnej. Tym razem zabrałem

w podróż żonę. Czas mijał szybko i przyjemnie. Byliśmy umówieni nie na jachcie, lecz w luksusowej restauracji na szczycie wieży. Kiedy wyszliśmy na poziom restauracyjny, oczom naszym ukazały się liczne okrągłe stoliki na szerokich nogach. Widać było, że kuchnia znajdowała się na innym poziomie. Przy jednym ze stolików siedzieli obydwaj bracia:

- Witajcie. Sami?

- Tak. Załatwiliśmy fachową i atrakcyjną opiekę dla dzieci.

- Możemy coś zamówić?

- Ależ proszę – ekran komputera przymocowany do stolika przesunął się w naszą stronę i mogliśmy, korzystając z wygodnej funkcjonalności sklepu internetowego, zamówić i zapłacić za nasze potrawy.

- Poprosiłem was o spotkanie, bo zupełnie przypadkowo trafiłem na pewną szansę rozwiązania waszego problemu z przeniesieniem się na Marsa – przeszedłem do rzeczy.

- O! Na czym to polega?

Wyłuszczyłem esencję prezentacji prezesa mojej firmy, kończąc tymi słowami:

- Nie jestem pewien, co się da zrobić, ale chciałem, abyście to wy podjęli decyzję, czy mamy podjąć rozmowy.

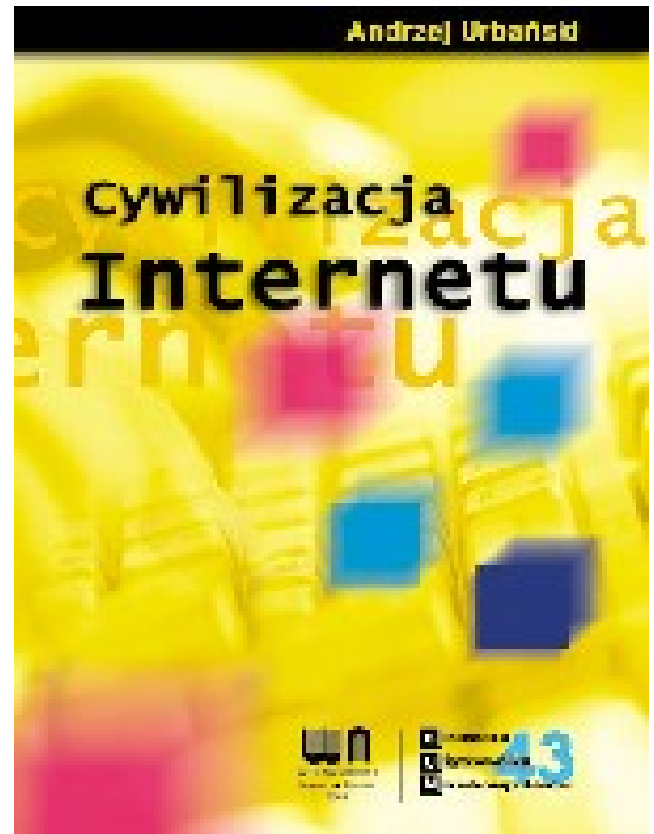
Bracia tylko spojrzeli na siebie i natychmiast porozumieli się.

- Chcemy spróbować – oświadczyli zgodnie.

Tymczasem przygotowane przez mistrzów kuchni potrawy zaczęły się pojawiać na naszym stoliku. Używano w tym celu szerokiej nogi stolika jako szybu windy, która przenosiła potrawy z innego pomieszczenia. Transportu poziomego dokonywały dosyć proste konstrukcyjnie roboty na kółkach, odbierając potrawy z podobnych szybów stolików kuchennych. Duża ilość robotów i wyrafinowany program komputerowy do zarządzania nimi umożliwiały uzyskanie wysokiej sprawności dostarczania świeżo przygotowanych potraw. Jednocześnie można było znacząco oszczędzić na kosztownej w dzisiejszych czasach pracy kelnerów.

- To w takim razie spróbuję uzgodnić spotkanie z moim szefem – powiedziałem, oddalając się i łącząc z sekretariatem firmy, gdzie zostałem umówiony na najbliższy pasujący termin.

Staliśmy z żoną na balkonie kosmodromu, machając do postaci widocznych za okienkami ogromnego statku kosmicznego. Statek ten leżał na sąsiedniej platformie, która wznosiła się dosyć szybko ku górze, wyciągana przez kosmiczną windę. Mogliśmy rozmawiać przez wideotelefony, bowiem statek był wyposażony we własną stację przekaźnikową. Jak można się było domyślić, dla dzieci było to ogromne przeżycie, bowiem wreszcie udało się pokonać wszelkie trudności i już za niecałe pół roku nastąpi długo oczekiwane połączenie rodzin. Prezydent mojej firmy zdawał się bowiem widzieć w sfinansowaniu tej wyprawy nie tylko własny interes, ale też możliwość pomocy dzieciom, które musiały dotąd chować się bez matek.



W tej wydanej przed laty książce poza licznymi tekstami popularyzującymi rozwiązania internetowe i komórkowe znalazło się kilka opowiadań z gatunku s-f, które przybliżyły pewne jeszcze nie do końca zbadane pomysły.

Może to opowiadanie albo jakaś jego mutacja znajdzie w książce, której zadaniem będzie przybliżenie zagadnień e-commerce oraz serwisów web 2.0, w których autor się obecnie specjalizuje.

Autor: Andrzej P Urbański

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl